

Kolejne łódzkie muzeum bez dyrektora

Bez medialnego rozgłosu, za to z klasą, honorem i poczuciem dobrze pełnionej służby pożegnała się z publicznością i kolegami Małgorzata Laurentowicz, dyrektor Muzeum Miasta Łodzi.

14 lipca podczas wernisażu wystawy „Introdukcja. Jacek Malczewski – Bartek Jarmoliński”, w dniu – dodajmy – swoich urodzin, poinformowała zebranych, że jej praca na tym stanowisku i w tym miejscu dobiegła końca. W muzeum, w którym pracowała nieprzerwanie od października 1975 r., które współtworzyła pod kierunkiem jego pomysłodawcy i pierwszego dyrektora Antoniego Szrama. Razem z grupą niezbyt początkowo licznych entuzjastów, zapaleńców, dobrze wykształconych i przygotowanych zawodowo, w większości importowanych łodzian, ale dlatego właśnie prawdziwie zainteresowanych dziejami miasta i jego mieszkańców. Odeszła ostatnia z tamtej pionierskiej grupki, w której notabene i ja spędziłem moje pierwsze muzealne dziesięciolecie. Ostatnia, która była i jest świadkiem narodzin koncepcji muzeum, jego powołania, zasiedlania i adaptacji pałacu przy ul. Ogrodowej. A także rozwoju muzeum, jego trwania, meandrów spowodowanych zmianami politycznymi i ekonomicznymi. I wielu, bardzo wielu sukcesów.

Przeszła wszystkie szczeble muzealnej kariery, by w końcu zostać jego dyrektorem: od września 2011 r. p.o., następnie – w październiku 2012 r. – podpisała kontrakt na pięć lat. Jak więc łatwo policzyć, do końca pozostał jej jeszcze rok z niewielkim okładem. Jakie wobec tego musiały zajść okoliczności, że tak nagle rozstała się z placówką, którą współorganizowała? Czym ją sprowokowano albo jakimi sposobami zaszantażowano?

Mam prawo snuć takie domniemania, bo to kolejny już raz w tym roku zasłużony dyrektor muzeum odchodzi „na własną prośbę” przed końcem kontraktu. Plaga czy może nowa, świecka tradycja? Ona doskonale wiedziała, czym jest muzeum i jakie są najważniejsze zadania każdej takiej placówki. W ciągu lat samodzielnego kierowania mozolnie, ale konsekwentnie powracała do korzeni, starała się do tego, co jest, co odziedziczyła, przyłożyć i swoją pieczęć. Jej znakami stały się wystawy i publikacje sięgające do łódzkich tradycji. Szczególne wysiłki włożyła w udostępnienie, przybliżenie publiczności kolekcji zgromadzonych przez rodzinę Poznańskich albo uhonorowanie dorobku i pamięci wielkiego łodzianina Karla Dedeciusa. Nie traciła z oczu najważniejszych dla swojego – dla każdego – muzeum kwestii takich jak odpowiednie zaplecze magazynowe, środki na powiększanie kolekcji, wreszcie troska o tak podstawowe sprawy, jak pilna potrzeba konserwatorskiego remontu pałacu, a choćby i naprawa przeciekającego dachu. To nie są problemy na pierwsze strony, którymi można się chwalić, ale bez ich rozwiązania cała reszta może sprowadzić się do pozłotki. Ona to wiedziała, w przeciwieństwie do kolejnych ekip administrujących miastem.

Odeszła ze stanowiska w pełni sił twórczych, mimo że jej dyrektorski kontrakt jeszcze nie wygasł. Odeszła, powtórzę to, z klasą, można rzec z uśmiechem na ustach, z podniesioną głową. Nie jest już tajemnicą, że to odejście zostało przez administrację samorządową sprowokowane, a mógłbym nawet pokusić się o stwierdzenie, że wymuszone, ale to w końcu nie jest takie istotne. Istotne jest, że lekką ręką pozbyto się kolejnego fachowca, muzealnika z długim stażem i doświadczeniem, które jest niezbędne w każdej pracy, ale w tej konkretnej – bezcenne. Teoretycznie tylko można stać się muzealnikiem z mocy zarządzenia takiego czy innego organizatora. W rzeczywistości nawet specjalistyczne studia są tylko wstępem do samokształcenia i samodoskonalenia się. Więc zwyczajnie żal, że osoba z wiedzą podpartą ogromnym doświadczeniem przechodzi do innej rzeczywistości. W której nie będzie już musiała składać sprawozdań, wypełniać tabelki i żebrać o każdą dodatkową złotówkę, nie dla siebie przecież, ale dla dobra wspólnego. Skończą się też (zapewne) stresy, bezsenne noce, zmartwienia, jak podołać kolejnym zamierzeniom i zadaniom przy permanentnym braku środków. Ale nie wiem, czy to są marzenia osoby aktywnej, której nieobojętne są wartości wyższe, jak choćby wspólna pamięć, tradycja, przyszłość. Tu zacytuję słowa mistrza kina artystycznego Grzegorza Królikiewicza, który powiedział kiedyś: „Pracuję dla przyszłości”. Każdy

prawdziwy muzealnik może przyjąć je za motto w swojej pracy. Niektórzy, niezbyt wprawdzie liczni, ale tym bardziej warto ich cenić i szanować – za motto całego życia. Na pewno słowa te odnoszą się do Małgorzaty Laurentowicz.

Pożegnała się z publicznością obecną na wernisażu, dziękując tym, dla których pracowała: zwykłym i niezwykłym ludziom, w pierwszym rzędzie łodzianom. Choć wiadomo było, że w następnym po wernisażu dniu kończy pracę, nikt z prominentnych włodarzy miasta nie uznał za stosowne publicznie podziękować jej, nie tylko za pracę na stanowisku dyrektora Muzeum Miasta Łodzi, ale za całe dorosłe życie oddane miastu.

Z jej odejściem definitywnie kończy się kawałek najnowszej historii łódzkiego samorządowego muzealnictwa. Żadnym z muzeów nie kierują już ludzie, którzy spędzili w nich po kilkadziesiąt lat, które znali i kochali, czasami je współtworzyli. Na emerytury odeszły wiedza, doświadczenie, krajowe i międzynarodowe kontakty, szacunek i uznanie w środowisku.

Nie od dziś wiadomo, że najtrudniej być prorokiem wśród swoich. Witaj, Małgosiu, po naszej stronie życia!

Zdjęcia - Bożena Szafrńska